



*Popularyzacja nauki to zapewne niełatwe zadanie. W wersji skierowanej do nastolatków to już karkołomne wyzwanie. Marcin Przewoźnik zrealizował tę misję doskonale. (...) Niemala w tym zasługa języka. Błyskotliwy, cięty humor to właściwie znak rozpoznawczy tej książki. Gorąco polecam.*

*Anna Karczewska, Koszykowa dla bibliotekarza*

Kto by się spodziewał, że Mikołaj Kopernik, ten gruntownie wykształcony twórca teorii heliocentrycznej, wzgardził gościnną na królewskim dworze i zaszył się na prowincji, by... no właśnie. Badać kosmos? Romansować? Spiskować?

Miłosz Erbacher, awanturnik pracujący dla jednego z najpotężniejszych handlarzy dziełami sztuki w Polsce, wyrusza w trasę tropem Kopernika.

Towarzyszy mu córka Ewa, zwana Zakałą, piętnastolatka ze smartfonem w dłoni niezwykle pomocna w rozwiązywaniu zagadek. Frombork, Olsztyn, Kraków, gorąca Hiszpania – czy nasi bohaterowie zdążą odnaleźć cenny artefakt przed konkurencją?

To śledztwo pochłonie Cię bez reszty!

### **Marcin Przewoźnik**

Planował zostać nauczycielem, ostatecznie wciągnęło go dziennikarstwo. Autor książek dla dzieci, młodzieży i dorosłych. Autor podręczników edukacyjnych i poradników, książek popularnonaukowych i tych po prostu – do przyjemnej lektury.

Laureat nagrody im. Kornela Makuszyńskiego za *Puk, puk! Zastałem króla?* i nominacji do nagrody Literacka Podróż Hestii za książkę *Mama w occie. Zabójcze pierogi*. Píše też piosenki, przede wszystkim dla poznańskiego zespołu Łejery.

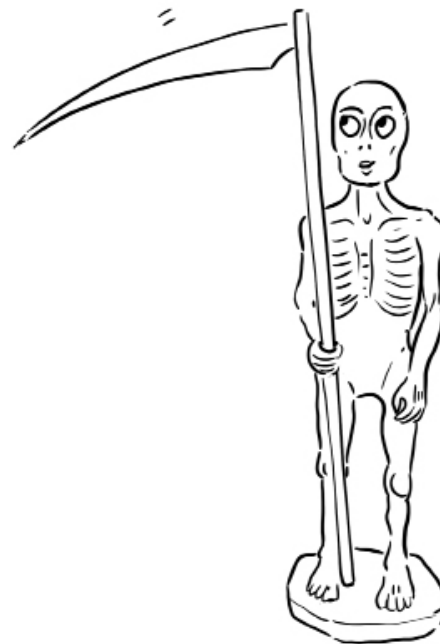
## ZWIEDZANIE NA SPOSÓB ROSYJSKI

Teraz mnie posłuchaj – szepnąłem do Zakały. Staliśmy w szpitalu Świętego Ducha przed jakimś koszmarnym malowidłem. Przedstawiało świętego Bartłomieja z nożem w garści i własną zdartą skórą trzymaną czule niczym kocyk bezpieczeństwa. Na ten widok córuś zagroziła, że się porzyga. Ojej, jednak klasyczne malarstwo może jeszcze robić wrażenie na wszecholewających nastolatkach z pierwszej ćwiartki dwudziestego pierwszego wieku! Odkrywa w nich pokłady zagłuszonej internetem empatii! To nawet krzepiące.

– Teraz mnie uważnie posłuchaj, bo właśnie jesteśmy w pracy. W tamtej salce będą różne wątroby w słoikach, protezy, lewatywy i inne makabry. Oglądamy je w skupieniu, tak? Potem ty wychodzisz, idziesz do sklepiku przy wejściu i tak przynajmniej z kilkanaście minut mega zawracasz pani głowę. Masz tu dwie stowy i pogrymasz trochę przy tej artystycznej biżuterii. Jasne?

Zakała patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

– A ty?



– Ja na kilkanaście minut zniknę z ekranów monitoringu, rozumiesz? Ty masz przebierać w tym chłampie. Niech ci babka otwiera i zamyka gablotki z pamiątkami! Rób, co chcesz, tylko totalnie ściągnij jej uwagę na siebie. Ma być turbozamieszanie... umiesz?

– Ded... to legalne?

– Jeśli niczego nie ukradniesz, to będzie legalne.

– Pytałam o ciebie. To legalne, że znikniesz? I właściwie gdzie znikniesz?

– Już ja wiem, gdzie znikać. Ale nie martw się, zaraz się odnajdę. No, dajemy, mała! Jedziemy z tym muzeum na grubo!

– O kurde, ale mi się trafiło – szepnęła Zakała i dreszcz wstrząsnął jej ramionami.

Między kolekcją sztucznych nóg a stołem sekcyjnym z podłużną dziurą na spływanie krwi, naprzeciwko kieliszków do płukania oczu (prawdziwych albo sztucznych, jak sobie klient winszuje) widniało wejście do piwnicy. Zamykały je solidne, półokrągłe zakończone drzwiczki. Gdy tylko Zakała zniknęła w prześwicie wiodącym do muzealnego sklepiku, przysunąłem się do nich. Już namacałem w kieszeni mały pęczek wytrychów, gdy okazało się, że żadna kłódka nie broni dostępu do podziemi. Cichutko otworzyłem drzwi. Zanim do sali wystawowej weszła kolejna grupka zwiedzających żądnych antykwarycznej makabry, byłem już po drugiej stronie grubych, ciemno

malowanych desek. Malutka latarka. Naprzód i w lewo, pod najstarszą część kaplicy. Tam, gdzie mi kazał dotrzeć Czakram.

Było ceglasto, po staremu nisko, ale czysto i sucho. W prawo odchodziła odnoga do średniowiecznych pieców zapewniających setki lat temu ogrzewanie podłogowe. Żebym tylko nie zapomniał opowiedzieć o nich Zakale! Jej się naprawdę wydaje, że już dwieście lat temu świat był czarno-biały, a ludzie polowali na mamuty w przerwach między słuchaniem koncertów Szopena a lepieniem cegieł z błota.

W lewo było tam, gdzie miało być. W drogę! Malutka latarczka o wąskim promieniu i sporej mocy. Widziałem przy wejściu włącznik jakichś lamp elektrycznych, ale nie byłem pewien, czy światło nie rozjarzy komuś ekranu z monitoringiem albo nie przebiję się na zewnątrz choćby przez te piece podłogowe. Owinąłem latarkę chusteczką. Im bardziej rozproszę promień, tym lepiej.

To chyba tu.

Czakram – pomyślałem – w co ty mnie, do ciężkiej cholery, pakujesz? Przecież przez ostatnie sześćset lat w tych przeklętych piwnicach działo się dosłownie wszystko! Cały ten szpitalik ze trzy razy puszczano z dymem! A najwięcej działo się podczas ostatniej wojny, gdy oficerowie SS ewakuowali z Fromborka niemieckiego biskupa. Gdy wywozili stąd wskazane przez niego skarby. Gdy chwilę potem żołnierze z Armii Czerwonej zajęli całe wzgórze katedralne i przez rok nie wpuszczali tam Polaków, dopóki nie ukradli i nie wywieźli wszystkiego, co się dało wywieźć i ukraść. Potem nam trochę oddali w ramach przyjaźni polsko-radzieckiej, he, he! Zaprzyjaźnij się z kacapem, to odda trochę tego, co wcześniej ci zrabował! Wolne żarty!

Działo się także, gdy po wojnie polscy ubecy szukali skarbów wywiezionych wcześniej przez esesmanów. I kiedy cała Polska razem z harcerzami i Tytusem de Zoo z komiksów Papcia Chmiela organizowała Operację Frombork, przekopując wszystko, co się tylko dało. Wreszcie w ostatnich dziesięcioleciach przeprowadzono prace archeologiczne w tej, kurde, w tej konkretnej piwnicy. I co? Znajdę tu dzisiaj skrytkę z tajnym znakiem templariuszy jak jakiś Indiana Jones czy inny profesor Langdon z powieści Dana Browna? Absolutnie w to nie wierzę. Ale praca to praca.

Ciekawe, jak się sprawuje Zakała?

Czakram mówił: pod absydą albo pod ołtarzem. Bywałem już w piwnicach i lochach, wiem, jak chodzić po podziemiach, jednocześnie pamiętając, pod którymi pomieszczeniami aktualnie jestem. Gdzie ja zresztą nie bywałem? Tu jednak było sucho, sterylnie, pozamiatane, oczyszczone i zabrane.

Podłoga. Regularność podłogi. Powtarzalność podłogi. Tak, wiem, to jest strasznie nudne. Wyobraźcie sobie puzzle przedstawiające chodnik ułożony z kostki Bauma. Można się od razu powiesić na suchej gałęzi. Nuda ustąpi jednak emocjom, gdy kostka Bauma ulegnie zakłóceniom graficznym.

Zakłócenia graficzne.

Tu w poprzek, a tu wzdłuż. Czemu na tej jedynej cegle jest starty niemal do zera, ale wciąż reagujący cieniem na latarkę, gmerk ceglarza? Bo co? Akurat tę jedną ułożyli inaczej? Gmerk, znaczy punca, znaczy znak odbity w cegle, jeszcze zanim glina stwardniała na amen, wypalona w piecu. Popatrzcie na stare mury waszych miast. Zdziwicie się, ilu dawnych ceglarzy podpisało się tam na wieki.

No więc, jest zakłócenie graficzne podłogi i gmerk. Zdjęcie. Dalej. Bauma, Bauma, Bauma, Bauma... okej, dżołking, żartowałem. Cegła, cegła, cegła, cegła... skosik, skosik, skosik, skosik... nie skosik. Gmerk. Znowu w takim miejscu, że... że nie wiem czemu, ale gdybym się przebrał za ekipę remontową, dokładnie tutaj, przy użyciu szlifierki kątowej ciąłbym teraz zaprawę między ceglami.

Nie moja sprawa. Zdjęcie dla pana, panie Czakram. Co pan z tym robi, nie wiem. Zadanie wykonane. *Mission accomplished*. Ciekawe, kto ci, Czakram, podpowiedział, że tu może być takie coś???

Przytłumiony metaliczny dźwięk przebił się przez grube drzwi i wykorzystał je jak portal do pudła rezonansowego, a potem popłynął stłumionym echem w martwym powietrzu wprost do moich uszu.

Tym oto mądrym zdaniem chciałem wyrazić, że usłyszałem, jak ktoś zamyka drzwi do piwnicy od strony muzeum. Prawdopodobnie na kłódkę.

Teraz mogę tylko połomotać w drzwi. Potem łąć, że myślałem, że schodzę do toalety. Nie, to nie jest profesjonalne wyjście z sytuacji. Szczęście w nieszczęściu, że mnie zamknęli, przynajmniej nikt tu nie wlezie.

Blim! Esemes.

*Ded, gdzie jesteś? Ktoś zamknoł wejście.*

„Zamknoł” napisała! Oby to był błąd asystenta pisowni w smartfonie!

*W piwnicy. Zaraz wykombinuję, jak stąd wyjść.*

*Zawołać kogoś, żeby ci otworzył?*

*Nie!!! Absolutnie! Nie chcę, żeby mnie ktoś zobaczył i zapamiętał.*

*Bo ja już wszystko kupiłam. Nie wiem, co dalej.*

*Pożegnaj się, wyjdź i poczekaj na mnie w ogrodzie. Z wyjścia na lewo. Za kapliczką. See you!*

*Baza.*

Pod sufitem lśniła nie tylko biała plastikowa obudowa niewłączonej przeze mnie lampy. Lśniła też biała plastikowa krateczka czujki pożarowej.

Trzeba na takie rzeczy zwracać uwagę, kiedy się pracuje w kulturze.

Zapalniczka. Nie palę papierosów, jednak zapalniczkę zawsze mam przy sobie. Na wypadek awarii latarki. Na wypadek, gdyby zamknęli mnie w piwnicy pod szpitalem Świętego Ducha. Wypadki chodzą po ludziach, prawda?

Palimy. Ciekawe, czy mają tylko alarm, czy tryskacze też? Wołałbym bez tryskaczy. Mokry facet wychodzący z muzeum zawsze z niewiadomych powodów rzuca się w oczy.

Psss... trzask!

Alarm! Wyje. Woda jednak się nie leje. Bardzo mi miło. Odpełzam w prawo, do ślepego zaułka z piecami podłogowymi.



Nad stropem słycać hałas. Syrenę. Tupot. Wołania. Ktoś otwiera kłódkę zatrzaśniętą przed dziesięcioma minutami po zewnętrznej stronie grubych drzwi.

Pstryyyyk! Światło dobiega z głównego korytarza.

Teraz trzeba się zsynchronizować. On albo oni biegną w lewo, do czujki, a ja przeczekuję i śmigam do schodków i do wyjścia.

W wystawienniczej salce z lewatywami i wątrobami już całkiem pusto. Wychodzę, mijam kasjerkę.

– Co tu się u was dzieje? Pożar? – palę głupa. Umieję to robić. Tego też nie wpisałem do CV.

– Proszę wyjść, proszę wyjść! – ponagla mnie kobieta i dosłownie wypycha z budynku. – Pewnie czujka znowu zwariowała, ale na wszelki wypadek proszę wyjść!

Nie będę się przecież opierał. Wyrzucają, to wychodzę.

Zakała czeka na mnie za kapliczką w ogrodzie botanicznym założonym na tyłach szpitala Świętego Ducha. Na mój widok podbiega i przytula się. Mocno. Jak prawdziwa córka. Coś takiego!

– Wszystko w porządku, Ded?

– Spoko. Wszystko gra.

Z miasta dobiegły pojękiwania syreny. Straż pożarna albo policja. Jeszcze w oddali, ale zaraz tu będą.

– Chodź na cmentarz – wskazałem Zakale cmentarny pagórek po drugiej stronie ulicy. Poszliśmy tam niespieszonym krokiem, zanurzyliśmy się pomiędzy groby, wreszcie uklękliśmy przy jednym z nich.

– Kto to? – spytała dociekliwa córka.

– Nie mam pojęcia, ale jak każdy tutaj potrzebuje modlitwy za duszę.

Dwie minuty modlitewnego skupienia. Radiowóz podjeżdża pod muzeum.

– Ded...?

– Cicho!

– Ale...

– Zmów paciorek. Zaraz wracamy.

Pięć minut. Teraz możemy wyjść. Wychodzimy z cmentarza i z ciekawością gapiów przypatrujemy się radiowozowi oraz strażackiej furgonetce robiącym *disco-blue* przed szpitalem Świętego Ducha.

– Ded, co ty właściwie zrobiłeś? – szepnęła Zakała trzymając mnie pod rękę, kiedy szliśmy spacerowym krokiem w kierunku hotelu Kopernik. Fantazyjne makijażowe zawijaski przy oczach zaczęły reagować z potem, a może ze łzami? Muszę kupić jej lepsze kosmetyki!

– Zwiedziłem muzeum na sposób rosyjski – odpowiedziałem uprzejmie.

– Ded, przestań! Co to znaczy?

– Wchodzisz do muzeum, zwiedzasz, potem je podpalasz i uciekasz.

– Ded, ale ruscy wszystko kradli! Czy ty...?

– Nie, Zakała. Tylko robiłem zdjęcia. Przysięgam.

– Jeezu, Ded, to dobrze. Bo już zaczynałam cię lubić.

A to niespodzianka!